

O Meli,
radiu z pieca
i rudym jamniku,
który robi, co chce

Monika Ślizowska

O Meli,
radu z pieca
i rudym jamniku,
który robi, co chce



ilustrowała
Zofia Zabzeńska

Wydawnictwo Skrzat
Kraków



Drogi Ktosiu!

Jeśli pewne sytuacje w tej opowieści Cię zdziwią, to zapewne dlatego, że jej bohaterka, Mela, spędziła dzieciństwo w czasach, kiedy nie miało się w domu komputera, a telefony komórkowe jeszcze nie istniały. Dzieci wolne chwile spędzały wtedy na podwórku, przy trzepaku, do szkoły zaś chadzały same z kluczami na szyi. W sklepach nie było wszystkiego, na co tylko przyszła ochota, i w ogóle nie miało się aż tylu możliwości wyboru co teraz, a niektóre rzeczy dostawało się tylko na przydział, w bardzo ograniczonej ilości. Po prostu było trochę inaczej. Pewnie Twój rodzice, ciocie i wujkowie to pamiętają. Twój dziadkowie wspominają pewnie jeszcze dawniejsze czasy i inne realia. Może też znają historie podobne do tych opowiadań przez radio z pieca w starym mieszkaniu Meli? Najlepiej zapytaj, ale to później. Teraz tylko nastaw uszu...

Wiosną



Kwestia drzewa
i odlot Sindbada Żeglarza

Gdy świat Meli nie był jeszcze zbyt rozległy, w jego centrum stał stary dom – a dokładniej blok robotniczy z położonym na parterze wysokim mieszkaniem ogrzewanym na piec. Za



jego kuchennym oknem rozpościerał się widok na stare drzewo, rozłożystą lipę. Mela z mamą obserwowały, jak zmieniało się z porami roku. Właśnie sprawdzały, czy już puściło listki, i obie się uśmiechały. Była wiosna i z dnia na dzień lipa coraz bardziej się zieleniła.

Mela lubiła sobie wyobrażać, że drzewo tu wcześniej nie stało. Że pojawiło się, gdy ona zjawiała się w starym mieszkaniu – czyli w ogóle na świecie. Tylko szybciej od niej rosło i dlatego było już tak potężne. Wiedziała oczywiście, że to nieprawda, ale z niezrozumiałych dla siebie powodów powiedziała kiedyś Martynie z podwórka:

- To ja zasadziłam to drzewo.
- Nieprawda – odparła zaraz Martyna.
- A właśnie że tak – upierała się Mela.
- Nie mogłaś go posadzić, bo ono jest już wielkie i stare, i od dawna tu rosło. Jesteś głupia – oświadczyła Martyna i dodała, zupełnie

bez związku z omawianą kwestią: – I nigdy nie jeździsz na kolonie!

Martyna za to miała za sobą niejedną podróż na koloniach nad morzem. I bardzo lubiła to podkreślać.

A Mela na kolonie nie jeździła, bo miała bardzo dużo uczuleń na różne rzeczy, czyli alergię, i często chorowała. Sporo czasu spędzała więc w starym mieszkaniu z dużymi przechodnimi pokojami, jednym położonym na północ, drugim na południe. Latem przestrzenne pomieszczenia dawały chłód, ale zimą trudno było je ogrzać. W mieszkaniu znajdował się jeszcze trzeci, mniejszy pokój – a właściwie Trzeci Pokój. Ten mógłby należeć tylko do Meli, tyle że nie działał w nim piec. Rodzice urządzili jej więc kącik w pokoju na południe, tym cieplejszym, tuż przy drzwiach do osamotnionego pomieszczenia, które służyło za składzik rzeczy wszelakich. No i była też podłużna, zawsze

ciepła kuchnia, z której obserwowały z mamą drzewo.

Na szerokim drewnianym parapecie kuchennego okna od pewnego czasu stała klatka, czyli domek Sindbada Żeglarza. Sindbad był żółto-zieloną papużką falistą. Pewnie dlatego, że miał żółty łebek i brzuszek, fascynowało go wszystko, co żółte – a może po prostu uważał, że to jego krewni? W każdym razie za nic nie chciał oddać swojej żółtej piłeczki, a kiedyś, gdy babcia Irena (czyli mama mamy) z dumą położyła na stole zdobytą w sklepie cytrynę, Sindbad też ją sobie przywłaszczył.

– Może potrzebuje witaminy C? – zastanawiała się Mela.

Pamiętała dobrze słowa mamy, że ta witamina pomaga w przeziębieniach i że cytryna ma jej dużo. Ogólnie cytryna była w porządku, byle podczas wyciskania soku nie wpadały do niego pestki (wiadomo) albo mestki. (Mestki, czyli drobinki miąższu, które z braku

pewnej nazwy Mela postanowiła tak określić na użytek protestu: „Nie będę piła, bo tam są pestki!”. „Nie ma, wyjęłam” – mówiła mama, a wtedy Mela wyciągała drugi argument: „Ale są mestki!”).

Co do Sindbada, to dostał swoje imię na cześć bohatera bajki, którą Mela oglądała z łóżka w małym czarno-białym telewizorze, gdy jeszcze chodziła do przedszkola (a właściwie chadzała tam w kratkę, czyli rzadko – gdy była zdrowa). Sindbad Żeglarz pochodził z zupełnie innego świata, oczywiście pływał statkiem i ciągle miał bardzo egzotyczne przygody, ale przytrafiały mu się też nieco niezrozumiałe dla Meli rzeczy, na przykład cisza morska. Gdy ta zapadała, nic się nie działo. Zupełnie nic. Mela zauważyła, że wszyscy bohaterowie bajek tego nic nie dziania bardzo się boją. Gdy dłużej się nad tym zastanowiła, zrozumiała, o co w tym chodzi: wszystko zamiera i nic nie da się zrobić. No bo jak pojąć takie nic?

Może dlatego woląa myśleć, że miała wpływ na pojawienie się drzewa? Chociaż to zdecydowanie utrudniło jej zakolegowanie się z Martyną...

Gdy Sindbad już całkowicie się oswoił – to znaczy pozwalał Meli dotykać żółtej piłeczki, przysiadawał na jej ramieniu i ocierał się łebkiem o policzek, a nawet sam z siebie zaczął mówić: „Dzień dobry!”, „Mela, Mela” i „Jestem Sindbad” – okazało się, że dziewczynka jest bardzo uczulona na pierze. Z powodu tej wielkiej domowej tragedii Sindbad musiał się wyprowadzić i trafił do rudowłosej, wesołej cioci Ewy. Nie była ona co prawda prawdziwą ciocią, ale najlepszą koleżanką mamy z pracy, z przedszkola. Nosila zwariowane kolorowe swetry robione na drutach i miała już w domu mały zwierzyniec, za to w ogóle nie miała uczuleń. Mela długo płakała z powodu wyprowadzki Sindbada, ale pocieszało ją, że trafił w dobre miejsce. Wiedziała o tym, bo od czasu do czasu

dostawała od niego listy. To znaczy tak naprawdę pisała je ciocia Ewa. Mela dobrze o tym wiedziała, nie była już przecież taka mała, żeby dać się nabrać jak jakieś przedszkolaki! Ale... szczególnie jej to nie przeszkadzało.

Sindbada list do Meli

Droga Melanio!

Z radością donoszę Ci, że moja podróż szczęśliwie dobiegła końca, wszelka cisza morska (lub powietrzna?) mnie ominęła i wylądowałem w niskim kwadratowym domku „na dołku” – to znaczy tam, gdzie czasem chodzisz do sklepu, dokładnie podwórko obok! Sufit tu mają nie tak wysoko, za to więcej pokoi do oblatywania. Towarzystwo nie to, co Twoje, rzecz jasna, ale całkiem przyzwoite. Zdołałem się dogadać



z pekińczykiem o imieniu Tokio (jak na mój ptasi rozum to imię to jakiś żart, nie sądzisz?!). Królik Puchatek (on chyba ma coś wspólnego z jedną z Twoich ulubionych bajek) od początku wykazywał neutralne do mnie nastawienie. Za to czarnego kocura Behemota (już samo jego imię skłania mnie do dystansu...) na razie omijam z wysoka. Choć osoba zwana przez Ciebie ciocią Ewą twierdzi, że wbrew pozorom to najśodsze zwierzę pod słońcem i nie mam czego się obawiać... No cóż, pozycjemy (?), zobaczymy...

*Czekam z niecierpliwością na Twoje odwiedziny!**

Sindbad Żeglarz

PS Dostałem nową żółtą piłeczkę.

*Odwiedziny nastąpiły niedługo po tej korespondencji, jednak z powodu kichania, łzawienia i smarkania Mela musiała je zakończyć wcześniej, niż miałyby na to ochotę. Pozostawało jej więc wielokrotne czytanie listów od Sindbada. Ciocia Ewa zaproponowała też, że postawi

jego domek blisko okna na parterze, tak żeby Mela, na przykład po drodze do sklepu na dołek, mogła się zatrzymać i mu pomachać. Mela się zgodziła – to brzmiało doroślej niż fikcyjne listy, chociaż... wyobrażenie Sindbada skrobiącego do niej po kartce pazurem zawsze ją rozśmieszało.

Ale że każdy kij ma dwa końce, a każda moneta dwie strony, czasem coś niemiłego może za sobą pociągnąć coś naprawdę dobrego. Otóż gdy Meli wyszło uczulenie na pierze, okazało się, że na sierść psa nie wyszło jej prawie w ogóle! I wtedy też, po długich naradach rodzinnych, konsultacjach lekarskich i wielu błagalnych spojrzeniach, spełniło się jej marzenie: Mela dostała pieska. Z niekłopotliwą, krótką sierścią – niedużych rozmiarów jamniczka.

Nikt w starym mieszkaniu wtedy jeszcze nie wiedział, że niewielkość jamników to pozory.

One mają naprawdę ogromną osobowość!



Pierwsze prawo Jonka: brać sprawy w swoje łapy

Gdy Mela go wybrała – a dokładniej, gdy on wybrał sobie Melę – był jeszcze zupełnie krótkim szczeniakiem z nie tak dużymi słoniowymi uszami (jamniki z czasem nabierają długości i upartego charakteru). Kiedy do psich nosków doleciał zapach jakichś nowych ludzi, jego bracia porozbiegali się po kątach. Tylko on, zaciekawiony, zbliżył się do najmniejszego człowieka, klękającego na podłodze i mówiącego coś przyjemnie brzmiącym głosem. Podreptał bliżej i tak mu się ten nowy zapach spodobał, że polizał wyciągniętą dłoń.

– Weźmy jego! – oznajmił ten mały człowiek. A dokładniej ta mała człowieka.

– Jesteś pewna, Mela? Może chcesz zobaczyć jeszcze inne? Zaraz powyłażą z kątów – powiedziała pani-mama (to znaczy pani tego domu

i właścicielka tej psiej rodziny, czyli w skrócie: mama).

– Ale to on sam do mnie podszedł i mnie polizał.

Jonek, który w tej chwili jeszcze nie nosił żadnego imienia, pomachał ogonem na potwierdzenie, a potem z radości zrobił siku. Tak to po prostu bywa ze szczeniakami.

Chociaż był jeszcze zupełnie mały, szybko zwęszył psim węchem, że oto dostał pod opiekę nowe stado. Całkiem własne. Składało się z trzech ludzi. Największy był tata – jego należało się pilnować na spacerach. Trochę mniejsza, za to z najwyższą pozycją była mama – ona dawała jedzenie (w związku z tym

należało przed nią długo stać, wpatrywać się uparcie i baaardzo intensywnie się oblizywać, żeby wiedziała, że dobrze gotuje).



Najmniejsza ze stada była zaś mała człowieka, tak zwana dziewczynka, i Jonek uznał, że to nią przede wszystkim musi się zaopiekować. Plus dostarczyć jej trochę rozrywki, bo jakoś rzadko wychodziła pobiegać. I chyba w ogóle nie tarzala się w trawie!

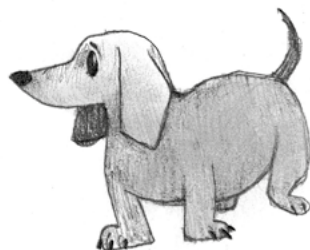
Czy smoki znają roztocza

– Jaki śliczny! – zachwycała się Olusia od progu.

Mela otworzyła jej drzwi z Jonkiem na rękach. Piesek czasem bardzo lubił się przytulać, ale gdy chciał robić co innego, zdecydowanie dawał o tym znać. Teraz wyrywał się, bo koniecznie musiał powąchać najlepszą przyjaciółkę swojej dziewczynki.

– Jak go nazwałaś?

– Noo... nie mogłam się zdecydować, ale w końcu... Jonatan Lwie Serce. – Takie imię



Jonek dostał na cześć *Braci Lwie Serce*, jednej z ulubionych książek Meli.

– Ooo, bardzo dostojnie! – Olusia zrobiła okrągłe oczy.

– Myślisz, że głupio brzmi? – zmartwiła się Mela. – Inni pewnie powiedzą, że głupio.

– Kto?

– Nooo, tu, na podwórku... Ale w skrócie mówimy na niego Jonek albo Jonuś. Jak rozrabia, to Jonek – zaśmiała się Mela – a jak jest taki kochany i się przytula, to Jonuś.

– Przecież nie wszyscy muszą znać całe jego rodowe nazwisko – stwierdziła trzeźwo Olusia. – Na pewno będzie bardzo waleczny i obroni cię przed złymi czarownikami, prawda? – Zbliżyła twarz do Jonka, który szybko wykorzystał okazję, by dać jej buzi. – Uuu, ale całusny! – Udała, że się krzywi, ale zaraz się roześmiała.

Olusia miała ciemne, krótkie kręcone włosy, okrągłe okulary, których nie lubiła, i wiecznie



rozmairzone spojrzeie. Uwielbiała wszelkie opowieści o smokach i czarodziejach, pięknie rysowała i wymyślała własne historie, które potem opowiadała Meli na przerwach w szkole. Za to wiecznie zapominała o zadaniach z matematyki, którą Mela z kolei lubiła, dlatego była Olusiovym pogotowiem rachunkowym. Od tego roku siedziały razem w ławce. Olusia przyszła do tej szkoły rok temu i Mela

doskonale pamiętała, jak zobaczyła ją na korytarzu. Pomyślała wtedy, że to musi być bardzo sympatyczna dziewczynka, i miała całkowitą rację! Z pewnością przemówiło do niej coś, co nazywa się intuicją. Jonek właśnie to przeczucie potwierdził zawziętym machaniem ogona.

W nowym roku szkolnym obie dziewczynki wylądowały w tej samej czwartej klasie. Obie, zamiast biegać po boisku czy skakać na skakance, wołały siadać na murku, machać nogami i opowiadać sobie, co rysowały albo wymyślały (to głównie Olusia, zawsze ze smokami w roli głównej), albo co czytały lub co im mama przeczytała (to głównie Mela, bo zawsze gdy chorowała, prosiła mamę, żeby jej poczytała). Poza tym Mela miała te swoje alergie, których nikt nie rozumiał, a Olusia widziała dobrze tylko z bliska i ciągle gubiła gdzieś okulary. Gdy tylko mogły, zamiast brać udział w zabawach sportowych, chodziły do małego parku koło szkoły i wachały modrzewie. A gdy Mela